

## SKELETON COAST

Na ciemnym, wulkanicznym piasku bieleją szczątki muszli, wyschnięte wodorosty, a także kości wielorybów, fok, a może nawet, któż to wie, marynarzy. O pustynny brzeg, który stał się grobem dla wielu żeglarzy, uderzają lodowate fale oceanu.

Jak okiem sięgnąć, roztaczają się zachwycające widoki, piramidy piasku, rzeźbione wiatrem gigantyczne wydmy, powietrze drgające od skwaru, jary i zagłębienia terenu wypełnione wodą, gdzie często schodzą się pustynne zwierzęta. Wokół panuje absolutna cisza i magiczny nastrój, który sprawia wrażenie kompletnej izolacji od reszty świata. Jesteśmy na otoczonym złą sławą Skeleton Coast, Wybrzeżu Szkieletów, lub jak mawiali kiedyś Portugalczycy, Wybrzeżu Piekieł. Gęste mgły, niebezpieczne prądy morskie, potężne fale, silne wiatry były tutaj przyczyną wielu tragedii. Na przestrzeni wielu kilometrów plaża usłana jest licznymi martwymi wrakami zasypywanych przez wydmy statków, które zżera stopniowo rdza, by w końcu doprowadzić do rozpadu na wiele segmentów.

W 1976 roku rozbił się południowoafrykański trawler rybacki „Suiderkus”. Dopiero kilka lat później natrafiono na szkielety członków załogi. Niezwykle dramatyczne przeżycia stały się udziałem 106 osób ze statku „Dunedin Star”, który osiadł tutaj w 1942 roku. Część pasażerów postanowiła ruszyć na pustynię i wkrótce ślad po nich zaginął. Inni pozostali na statku, licząc na pomoc z morza. Istotnie na sygnał SOS odpowiedziały trzy przepływające nieopodal jednostki, jednak sztorm uniemożliwił zabranie rozbitków szalupami. Dwa statki wycofały się z akcji ratowniczej, trzeci, „Sir Charles Elliot” utknął na mieliźnie 300 -m od brzegu, pogarszając jeszcze bardziej sytuację. Po dwóch tygodniach z samolotu wojskowego zrzucono na spadochronach paczki z żywnością. Jeszcze tego samego dnia pilot zdecydował się wylądować na plaży. Ewakuowano kobiety i dzieci, ale przy starcie samolot zakopał się w piasku. Czarna seria nie opuszczała nieszczęśliwców. Ich odyseja zakończyła się dopiero po 26 dniach. W wigilię Bożego Narodzenia kilka pojazdów mechanicznych odnalazło część pozostałych przy życiu rozbitków, których przewieziono do Swakopmund.

Zdradziecki brzeg nie oszczędził także małych samolotów i aut terenowych, którymi zapuszczali się tutaj poszukiwacze diamentów czy też przygód. Rozbitkowie rzadko mogli liczyć na powodzenie akcji ratunkowych w tym bezludnym i odosobnionym zakątku południowo-zachodniej Afryki.

Skeleton Coast bierze początek dokładnie na granicy z Angolą i przez ponad 600 km ciągnie się pasem szerokości 50-200 km wzdłuż wybrzeża namibijskiego, aż do Przylądka Cross. Pierwszy Europejczyk stanął na tym pustynnym brzegu w 1485 roku, był to portugalski żeglarz Diego Cao. Pozostawił po sobie ślad, mały symboliczny krzyż z napisem informującym o swojej bytności na Przylądku Cross. Potem musiały upłynąć prawie cztery stulecia, nim następnii odkrywcy przybyli do tego rejonu.

Historia najstarszej pustyni świata sięga 120-170 milionów lat wstecz, do epoki, kiedy dzielił się pradawny ląd Gondwana, dając początek Afryce Południowej i dostarczając tym faktem argumentów na potwierdzenie teorii dryfu kontynentów. Liczne podobieństwa, zachodzące między skałami afrykańskimi a brazylijskimi, stanowią jego niezbitny dowód. Z epoki nieco nam bliższej, od 20 do 8 milionów lat temu, pochodzą złoża diamentów aluwialnych w ujściach rzek, dzisiaj często wyschniętych.

Posępne pustkowie przechodziło różne koleje losu. Stanowiło terytorium wydzielone na potrzeby ludności autochtonicznej Bantu, potem znalazło się w centrum zainteresowania geologów. Duże spustoszenie poczynili tutaj kłusownicy, niszcząc bogatą faunę. Celem ochrony środowiska naturalnego w 1971 roku cały obszar został objęty ścisłą kontrolą. Do utworzonego rezerwatu Skeleton Coast, stanowiącego okruchy dawnego świata, można wjechać tylko po uzyskaniu specjalnego zezwolenia w stolicy Namibii. Wydaje się je bardzo rzadko i z reguły tylko do Terrace Bay. Dalej na północ można podróżować wyłącznie w sposób zorganizowany, w grupie liczącej nie więcej niż dziesięć osób. Masowa turystyka z pewnością zagroziłaby delikatnej równowadze ekologicznej regionu.

Atletycznej postury ranger najpierw uważnie obejrzał nasze zezwolenie, potem flegmatycznie, bez pośpiechu otworzył bramę, na której namalowane są dwie wielkie czaszki ze skrzyżowanymi pischczelami. „Przypominam, że pod żadnym pozorem nie możecie zmienić wytyczonej trasy, płoszyć zwierząt, zbierać kamieni. Od tej chwili aż do momentu opuszczenia chronionej strefy będziecie pod naszą stałą kontrolą” — wyrecytował oficjalną formułkę.

Jedziemy na północ, mijając po drodze ogromne wydmy, o formach zmieniających się pod wpływem wiatru. Barchany, w kształcie półksiężyca, wyglądają najokazalej. Wszystkie zwrócone są wypukłym stokiem ku kierunkowi wiatru, który wieje tu zawsze z południowego zachodu.

W moich wędrówkach po dziewiczych miejscach często zapuszczałem się w rejony nieugaszonego pragnienia. Ta pustynia jest jednak chyba najbardziej osobliwa na świecie i najbogatsza w niespodzianki. Dobowa amplituda temperatur należy do wysokich, podobnie zresztą jak na wszystkich pustyniach, ale tu wilgotność jest bardzo duża. Przyczynę tego stanowi przepływający wzdłuż wybrzeża Afryki zimny Prąd Benguelski, który powoduje, że nad oceanem w pobliżu wybrzeża niemal zawsze utrzymują się gęste ławice mgieł. Nocny spadek temperatury na pustyni sprawia, że nad ranem masy wilgotnego powietrza znad oceanu przemieszczają się w głąb lądu na odległość 50, a nawet 100 km. Szron i rosa umożliwiają przeżycie wielu gatunkom roślin i zwierząt.

Dopisuje nam niesamowite szczęście. Jesteśmy świadkami rzadko trafiającego się deszczu. W kilka godzin pustynia ulega prawdziwej metamorfozie, pokrywa się zielonym dywanem usianym kwiatami i trawami. Pojawiają się nawet sukulentki, uśpione nieraz od długich lat.

Wśród ponad stu rodzajów porostów wyróżnia się welwiczka, istny fenomen natury, występujący tylko w Namibii i Angoli. Natrafiamy na nią wśród Gór Księżycowych. Robi wrażenie rośliny przeniesionej z zamierzchłej przeszłości, nieomal żyjącej skamieliny. I tak jest rzeczywiście. Botanicy uważają, że okazy tu występujące osiągają czcigodny wiek półtora tysiąca lat. Ich zdaniem początki owej niezwyklej rośliny sięgają epoki między 135 a 205 milionami lat temu, kiedy ziemie te były pokryte jeszcze tropikalną dżunglą.

Wysoka na półtora metra, ma grubą, rozplaszczoną łodygę w kształcie obwarzanka, z której wyrastają zawsze tylko dwa wieczniezielone liście przypominające wstęgi, poszarpane przez wiatr. Całość tworzy gęstą płataninę strzępiastej roślinności, wyglądającą jak kupka podartych łachmanów. Liście, wijące się wężowo po ziemi, rosną 10—20 cm rocznie. Ich końce stopniowo wysychają, strzępią się i odpadają. Ktoś policzył, że w ciągu swojego długiego życia roślina ta wytwarza liście o powierzchni równej pięciu kortom tenisowym.

Gatunek ten stanowi wymowny przykład genialnej adaptacji krzewu do ekstremalnych warunków pustynnych, w których jedynym dostępnym źródłem wilgoci jest nocna rosa albo opary mgły. Welwiczka stosuje bardzo prostą taktkę: aby nie tracić wody, otwiera mikroskopijnej wielkości pory na liściach tylko wtedy, gdy pojawia się wilgoć w powietrzu.

Kilka dni później, daleko na północy, w najmniej uczęszczanym rejonie pustyni, w wąskim skalistym wąwozie pokrytym krzewami, przeżywamy chwile silnych emocji. Początkowo wydaje się, że nawiedziła nas fatamorgana, ale szybko okazuje się, że przed nami defilują najprawdziwsze słonie i nosorożce. Jest to scena niebywała, bo nikt nie przypuszcza, że takie zwierzęta mogą żyć w sercu piaszczystej pustyni. Adwokat Louw Schoeman, który nam towarzyszy w tej podróży, jest zakochany w Skeleton Coast i zna pustynię doskonale. Mówi, że słonie żyjące w tej okolicy drążą jamy w wyschniętych korytach rzek tak długo, aż dokopią się do wody, którą następnie czerpią trąbą. Okazuje się, że w dolinach rzecznych ze śladami wody pojawiają się również lisy, żyrafy, antylopy, szakale, hieny, a także lwy, które dręczone głodem nie gardzą nawet otariami.

Wiele innych zwierząt, na przekór złowrogiej nazwie, jaką nosi owa spieczona słońcem pustynia, zdołało przystosować się do tych ekstremalnych warunków. Są tu jaszczurki, które potrafią gromadzić wodę w ilości wystarczającej na dwa miesiące, gady o płetwiastych kończynach, nie zapadających się w miękkim, piaszczystym podłożu, małe gryzonie, które „nurkują” pod powierzchnią piasku, wiewiórki posługujące się ogonem jak parasolem.

Ale najślynniejszym stworzeniem żyjącym na wydmach jest pewien gatunek chrząszcza z rodziny czarnuchowatych. Wynurza się on z piasku między północą a świtem, kiedy tworzy się mgła, i wędruje na szczyt wydmy. Tam wykłęca się tak, aby ustawić się dokładnie pod wiatr, wiejący od morza. Następnie unosi, jak może najwyżej, tylne odnóża i w takiej pozycji, niemal stojąc na głowie, wystawia na działanie wiatru całą

powierzchnię ciała. I tak jak włożona do lodówki puszka piwa, pokrywa się szronem, mgła skraplająca się na jego panczerzu spływa specjalnymi kanalikami wprost do otworu gębowego.

W cudownej scenerii malowniczego zachodu słońca przygotowujemy obozowisko. Chłód wieczorny jest przyjemnie orzeźwiający. Po zapadnięciu zmroku pustynia szybko oddaje ciepło i słupek rtęci z 42°C spada do 18. Ledwie zdążyliśmy zapomnieć o bezlitośnie prażących promieniach słońca, gdy zaczyna dawać się we znaki wiatr i zimno. Po gorącej kolacji, przygotowanej na maszynie gazowej, wsuwamy się w śpiwory, ale w drugiej połowie nocy budzimy się skostniali, wkładamy na siebie grube swetry i wełniane czap-ki. Oprócz zimna daje się we znaki także panująca wilgoć, którą przesiąknęło dokładnie wszystko, co pozostało na powietrzu. Średnia wilgotność różnych pustyni świata oscyluje między 15 a 30%, na Skeleton Coast dochodzi do 80, a na samym wybrzeżu oceanu przez pół dnia jest na pograniczu 100%. Szacuje się, że 300 dni mgielnych na Skeleton Coast odpowiada wartości przynajmniej 150 mm opadów.

Swego czasu za pustynię uważano obszar, gdzie roczne opady nie przekraczają 250 mm. Jednakże taka definicja nie zawsze oddaje realną sytuację terenów skrajnie suchych. Dzisiaj naukowcy uważają teren za pustynię wtedy, kiedy promieniowanie słoneczne jest zdolne wyparować z gruntu dwa razy większą ilość wilgoci, niż zapewniają opady atmosferyczne. A tutaj stosunek ten dochodzi aż do 200.

I to właśnie z winy takiej jakości pustyni szata roślinna jest ledwie zauważalna i brak jest widocznych przejawów życia. Podróżnik nieprzywykły do środowiska ze stałym niedostatkiem wody, wystawiony jest na nieustanne niebezpieczeństwo. Latem, kiedy temperatura przekracza 40°C, w ciągu jednego dnia z łatwością można stracić cztery litry potu. Jeśli straty tej nie uzupełni się, organizm zaczyna czerpać wodę z tłuszczów, tkanek i z krwi, która staje się wtedy coraz gęstsza, wolniej krąży i tym samym nie jest w stanie ochłodzić najważniejszych organów. Utratę wody odpowiadającą 5% masy ciała ustroj znosi jeszcze zupełnie dobrze, ale przy utracie ponad 25% człowiek umiera w oblędzie.

Dzisiaj docieramy do słynnych diun Soussusvlei. Mam wrażenie, że oglądam gigantyczne i sugestywne pocztówki z klasycznymi wydmami, które są w stanie rozpalić fantazję każdego mieszczucha. Miliony ton piekielnie rozgrzanego piasku tworzą niekończące się sinusoidalne, regularne formy, uderzające swoją prostotą i mające coś ze zmysłowych, erotycznych linii obnażonej kobiety. Mamy przed sobą monstrualne wydmy wyniesione przez wiatr na wysokość 300 m. Wchodzimy na pobliski grzbiet. Coraz to zbita powierzchnia piasku wydaje pod stopami dźwięk podobny do łamiącej się tafli lodu. Podziwiamy bezkresny, ceglatego koloru ocean piasku. Na dnie wyschniętego, słonego jeziora, w rejonie Deadvlei, natykamy się na osobliwe skamieniałe drzewa, spektralny widok szkieletów pni akacji erioloba, uschniętych przed kilkuset laty. Warunki klimatyczne tak doskonale je zakonserwowały, że nie poddają się nawet atakom termitów, które niekiedy budują sięgające 5 m termitiery.

Długo nie możemy oderwać oczu od tego malowniczego klejnotu natury, chciałoby się go sfotografować, ale teraz nie ma to sensu. Trzeba z tym poczekać do wieczora, bo dopiero wtedy, gdy cienie wydłużą się maksymalnie, można liczyć na efektowne zdjęcia. Tymczasem wsłuchujemy się w jęklivą melodię przesypywanego wiatrem piasku, gigantyczne wydmy nieustannie wędrują, przesuwając się rocznie nawet o kilkanaście metrów.

Jeszcze na kilka godzin przed południem zaczyna dawać się we znaki bezlitosna spiekota, która utrzyma się przynajmniej do godziny 1600. Na szczęście mamy wystarczający zapas wody pitnej, ale nie wyobrażam sobie, co musiało przeżywać dwóch zabłąkanych Anglików, którzy kilka lat temu oddalili się autem od przetartego szlaku, zakopali się w piasku i pieszo zdążyli potem w poszukiwaniu ratunku. Przez pięć dni szli w zabójczym upale z obtartymi nogami, wykazując heroiczne wprost samozaparcie i nadludzką wytrzymałość fizyczną. Znalaziono ich półprzytomnych i odwodnionych do granic możliwości.

Z piasków Soussusvlei dwiema terenowymi toyotami wynajętymi w African Extravaganza przemieszczamy się na północ. Przejedźdźmy przez głębokie wąwozy rzeki Tschaub, by wkrótce wyjechać na pustynną równinę, przeciętą prostą jak strzała, dobrze utrzymaną szutrową drogą pozwalającą rozwijać sporą szybkość.

Swakopmund, słynny nadmorski kurort, dwa razy mniejszy od Sopotu, o pedantycznie czystych i uporządkowanych ulicach ozdobionych wysokimi palmami, jest miniaturą typowej, spokojnej prowincji niemieckiej. Ślad krótkotrwałego panowania kolonizatorów teutońskich w latach 1884-1914 widoczny jest na każdym kroku. Ich potomkowie są właścicielami sklepów, restauracji i eleganckich hoteli. Język niemiecki jest nie mniej rozpowszechniony od oficjalnego angielskiego czy afrikaans, pochodzącego od

holenderskiego, którym posługują się Namibijczycy różnych grup etnicznych. Mnóstwo sztyldów i napisów drukowanych często czcionką gotycką. Wielu Niemców z interioru Namibii posiada tu letnie domki o tradycyjnej architekturze, typowej dla wybrzeża Morza Północnego. W końcu grudnia, który jest tu szczytem lata, średnia temperatura osiąga 25°C i miasto zapełnia się wczasowiczami ze stolicy, a także sentymentalnymi turystami z Niemiec, marzącymi o odwiedzeniu ziemi, na której walczyli ich dziadkowie i do dziś mieszkają ich kuzyni.

Niemieckie są także nazwy ulic, począwszy od głównej Keiser Wilhelm Strasse po Strand Strasse, gdzie w pobliżu dwudziestojednometrowej latarni morskiej, symbolu miasta, przed wyjazdem w dalszą podróż delektujemy się pysznymi aragostami i doskonałym cabernetem importowanym z Południowej Afryki.

Z campingu w Torra Bay, za którym rozciąga się morze barchanów, kierujemy się na wschód, by po 50 km opuścić teren Parku i znaleźć się w królestwie nieskalanych krajobrazów łańcucha górskiego Branderberg, enklawie dziewiczego środowiska. Ten odosobniony masyw, istna kwintesencja dzikości zdominowany przez nagie, zwietrzałe skały i suchą pustynię, urozmaicony jest dziwaczными wieżycami skalnymi i głębokimi wąwozami.

Od czasu do czasu przecinamy pradawne koryta rzek, zwane uadami, pokryte roślinnością, głównie krzewami akacji i zarośli molane, których głębokie korzenie wykorzystują podziemne wody, a wąskie liście i cienkie łodygi tracą wskutek parowania niewielką jej ilość. Od grudnia do maja nad szczytami tworzą się ciemne chmury, źródło ulewnych deszczów. Rwące strumienie wypełniają uady, stwarzając poważne niebezpieczeństwo dla rzadko odwiedzających te strony podróżnych. Miejsca takie są wtedy przejezdne tylko autem 4 x 4, a i to nie zawsze. Niejeden przeżył tu chwile strachu, kiedy silny nurt, niczym małą zabawkę, unosił samochód wraz ze skalnym rumowiskiem.

Przed zachodem słońca w polu naszego widzenia pojawia się u podnóża góry rosnące pojedynczo dziwaczne kształtu kokerboom, drzewo kołczanowe (Aloe dichotoma). Wysoki na 5 m gąbczasty pień posiada srebrnego koloru korę i mnóstwo filigranowych gałęzi, z których buszmeni po dzień dzisiejszy wyrabiają kołczany. Jest to endemit występujący na niewielkim obszarze Namibii i stanowiący w jakimś sensie symbol kraju: jej wizerunek widnieje na pięćdziesięciocentowej monecie.

Skwarny dzień zamienia się w zimną noc i śpiąc w śpiworze na campingu w Palmavag, nie można zapominać o włożeniu cieplejszej odzieży. Przed wschodem słońca przeżywamy chwile emocji, by nie powiedzieć strachu. Dwa dzikie słonie, niczym zjawy, w poszukiwaniu żywności znalazły się o kilka metrów od naszego obozowiska. Pamiętając o ostrzeżeniach na taką okazję, wygrzebaliśmy się z naszych śpiworów i powoli wycofaliśmy za samochody, tak aby nie spłoszyć intruzów i nie sprowokować ich do ataku. Ktoś chciał koniecznie zrobić zdjęcie i kiedy pojawił się błysk flesza, słonie natychmiast zainteresowały się nami. Zaczęły niespokojnie wachlować uszami, wydając jednocześnie groźne, gardłowe dźwięki, znak ostrzegawczy zapowiadający możliwość ataku. Zdobyliśmy się na bezruch, który według znawców tematu zapewnia bezpieczeństwo. Na szczęście słonie nie uznały nas za niebezpieczne dla nich istoty i wkrótce, łamiąc z trzaskiem zarośla, zniknęły w ciemnościach buszu.

Docieramy do skalistego regionu Kaokoland, graniczącego na północy z Angolą i na wschodzie z parkiem narodowym Etosha. Skrajnie trudna droga biegnąca wśród ostrych kamieni, bardzo niebezpiecznych dla opon samochodowych, wiedzie przez pasmo górskie pełne malowniczych kanionów. Nocujemy w otoczeniu zachwycającego krajobrazu, często opisywanego przez Wilbura Smitha. Rankiem, w rozjaśniającej się purpurowej poświacie, ruszamy w dalszą drogę, która lawiruje pośród skał i często pnie się w górę. W dolinie Sesfontein, usianej pojedynczymi okazami olbrzymich baobabów, napotykamy stado strusi, a nieco później kilka-naście gemsboków, dużych antylop o długich, prostych rogach, żyjących w rejonach, gdzie rośnie trochę trawy. Jest to królestwo słoni pustynnych, które znajdują pożywienie w korytach rzek, nawet suchych, gdzie zawsze jest trochę roślinności. Szacuje się, że sto lat temu było ich 3 tysiące, a dzisiaj pozostało nie więcej niż 200. W poszukiwaniu wody i pożywienia są w stanie pokonać nawet 50 km w ciągu jednego dnia.

Kończy się nasza wędrówka po urzekającej pustyni. W drodze powrotnej odwiedzamy Przylądek Cross, gdzie znajduje się kolonia sympatycznych otarii, składająca się z ponad stu tysięcy osobników. Teraz, w grudniu, matki wtajemniczają młode w arkana sztuki pływania, skacząc do morza z brzegów skalistych

wysepek. Wielkie samce, o masie przekraczającej 300 kg, leniwie rozłożone pośród swych haremów, odpoczywają po krwawych walkach, stoczonych o podział terytorium.

Głównym pożywieniem ssaków z rodziny uchatek są oczywiście ryby, ale nie gardzą one też głowonogami i skorupiakami. Z niezrozumiałych powodów dietę tę uzupełniają... kamieniami, które podobno służą za balast przydatny w czasie nurkowania.

Ostatni etap wiedzie do stolicy Windhoeku. Za nami setki kilometrów dróg pustynnych, ale także dobrze utrzymanych, żwirowych, pustych dróg, po których tylko od czasu do czasu przemknie jakiś pojazd. Drogi te często są proste jak strzała i każdy większy zakręt na nich jest wydarzeniem. Żadnych miast, osad czy stacji benzynowych. Całkowita pustka.

Windhoek to także wizytówka bismarckowskich Niemiec. Leży na wysokości 1650 m n.p.m., ma więc doskonały klimat i zadziwia atmosferą absolutnego spokoju. Liczy niewiele ponad 100 tysięcy mieszkańców. Przyciągają tu oko wielkie kobiety z plemienia Herero w kwiecistych sukniach i charakterystycznych nakryciach głowy przypominających duże rogale. W samym centrum znajduje się niezwykle malowniczy Christuskirche, kamienny kościół zbudowany przez Niemców w 1910 roku.

Życie towarzyskie miasta koncentruje się głównie między kilkunastoma przeszklonymi wieżowcami przy Kiserstrasse, gdzie potomkowie kolonizatorów piją doskonałe Windhoek Beer, kupują każdego rana lokalny „Allgemeine Zeitung” i obchodzą tradycyjnie Oktoberfest. Wieczorem w restauracji Hansa Gustawa spotyka się przy świetle świec elita miasta. W dużym salonie ze ścianami z ciemnego drzewa, z ciężkimi kotarami, starymi rycinami, zasiada dystygowane towarzystwo w nienaganych wieczorowych strojach, delektując się ostrygami o niepowtarzalnym mulisto-słodkawym smaku i dobrym południowoafrykańskim winem serwowanym z europejską klasą.

W odróżnieniu od większości innych krajów afrykańskich w Namibii dominuje spokój polityczny, ludzie żyją pogodnie i dostatnio.

Ostatnią noc spędzamy w lodge z kolonialną atmosferą mającą coś z romantyzmu dawnych eksploracji. Niejeden z nas z pewnością tu jeszcze powróci.

JACEK PAŁKIEWICZ